

51

Boska!

UWAŻAM RZE

WARSZAWA

31-10/06-11-2011

T. / Nr 39

6677
T. Polonia, WWA

2006/07

Janda jest boska!

Agnieszka Kublik uczciła premierę Teatru Telewizji na żywo okrzykami zachwytu. Nawet jeśli to okrzyki w stylu „Popatrzcie, do czego zdolny jest NASZ Juliusz Braun”, sam cieszę się także.

Intensywnie promowana „Boska” Petera Quiltera w reżyserii Andrzeja Domalika, przeniesiona z teatru Polonia Krystyny Jandy, skupiła ponoć 2 mln 700 tys. widzów przed telewizorami. Kublik jest zachwycona, że Braun złamał zasadę „Ile abonamentu, tyle misji”, bo uzyskał hojne wsparcie banku Millennium. Ja dorzucę, że to nie zwolni nas od dyskusji o finansowaniu zadłużonej dziś publicznej telewizji, bo zacznie się proza życia i o sponsorów nie będzie już tak łatwo. Ale w kategoriach promocyjnych, jeśli to zapowiedź odbudowy świetności teatru TVP – czemu nie? Sam się o nią dopominam nieustannie.

Teatr Telewizji na żywo, jak w dawnych czasach, to również pró-



ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Jak to jest zgadzać się z Agnieszką Kublik? Wyjątkowo trzeba, gdy chodzi o Teatr Telewizji

PIOTR ZAREMBA

ba wykrzesania dodatkowego dreszczyku emocji. Jest i różnica – dawne przedstawienia były grane jednym ciągiem. „Boska” została pokazana w aktach, z przerwami i z żywą publicznością, co podkreślało teatralną umowność. W pierwszej chwili trochę się w tym nie odnajdywałem, telewizja zachęca do innego, bardziej intymnego i dosłownego przeżywania. Te śmiechy i brawa złościły mnie, a targowisko próżności z celebrytami przepytywanymi w przerwie jeszcze bardziej.

Ale pomyślałem sobie, że taki teatr z czerwoną bombastyczną kurtyną jest tak ostantacyjnym sięgnięciem do – zdawałoby się – pogrzebanej przeszłości, że może warto. Zwłaszcza gdy sztuka to

nie kolejny popis kaleczenia klasyki udziwnieniami czy teatru zdającego własny ogon przemysleniami o samym sobie. Kiedy mamy przedstawienie grane po bożemu i o czymś.

Skądinąd ta błaha historyjka z USA czasów II wojny światowej, szczerze chwilami zabawna, też trochę mnie zirytowała. Pokazano nam prawdziwą postać – panią Florence Foster Jenkins – zachwyconą samą sobą, która zamęcza świat swoim brakiem talentu i przekonaniem, że „śpiewać każdy może”. I kazano w finale uwierzyć, że morałem jest szansa dla wszystkich kulawych kacząt, które „powinny uwierzyć w siebie”. A prawda jest taka, że baba zamęczała innych głównie

dzięki swojemu majątkowi. Bardzo to amerykańskie: ty też tak możesz. Pod warunkiem, że będziesz trzymał (trzymała) w zanzardzonym kącie czekową.

Ale zagadka, kim jest bohaterka: mitomanką czy kimś, kto chce się dobrze bawić, była mnie w stanie przytrzymać przed telewizorem. A poszczególne sceny, nawet jeśli stawały się wirtuozerskim popisem dla popisu, to przecież jakim! Krystyna Janda, która dawno już zgubiła swoje nieco manieryczne emploi, i w groteskowej roli potrafiła być dziwnie wyciszona oraz ciepła. Maciej Stuhr, który zachwycał grą na fortepianie. To nie maszyny, nie symbole. To ludzie! Warto na nich czasem popatrzeć. ■